

Aleksander Lipski

Uniwersytet Ekonomiczny
Katowice¹

***O potrzebie dojrzałej perspektywy krytycznej
w polityce społecznej***

Elżbieta Górnikowska-Zwolak (red.)

Kobiety w przestrzeni polityki społecznej wobec rodziny. Aspekty edukacyjne

Mysłowice 2013, Górnośląska Wyższa Szkoła Pedagogiczna
im. Kardynała Augusta Hlonda w Mysłowicach, 328 s.

W warunkach panującego w społeczeństwie nowoczesnym (rynkowym) dyskursu można odnieść wrażenie, że rozstrzygnięte zostały kluczowe spory aksjologiczne, a kłopotliwe pojęcie ideologii i jego polityczne implikacje odeszły bezpowrotnie w przeszłość. Siła tego dyskursu tkwi właśnie w zdolności skutecznego ukrywania swego ideologicznego charakteru i afirmowania go jako światopoglądu, który swoją prawomocność czerpie z powszechnej jego akceptacji jako swoistego prawa naturalnego, nie zaś arbitralnie narzuconej doktryny. Na tej utajonej ideologii zbudowany jest system społeczeństwa rynkowego, którego członkowie w swojej zdecydowanej większości (stanowiącej populację osób dobrze społecznie przystosowanych) traktują go jako zrozumiałą *per se*, niekwestionowalną i najlepszą z możliwych. W tych warunkach wykluczona jest praktycznie jakakolwiek kontestacja tego systemu i jego aksjologicznego zaplecza, a pojawiające się z rzadka głosy sceptyków czy

¹ Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach, ul. 1 Maja 50, 40-287 Katowice; adres internetowy autora: alipski@ue.katowice.pl

rachityczne ruchy społeczne niezadowolonych są błyskawicznie neutralizowane dzięki jego doskonale wypracowanym mechanizmom adaptacyjnym. Niemniej, jedynym zabezpieczeniem przed ostatecznym zniewoleniem umysłu i tryumfem fałszywej świadomości, przed „narkotyzującą dysfunkcją” (*narcotizing dysfunction*), jak to barwnie nazwali Paul F. Lazarsfeld i Robert K. Merton w swoim klasycznym opracowaniu z połowy ubiegłego wieku, jest praca oświeceniowa: upowszechnianie krytycznej analizy istniejącego stanu rzeczy, demaskującej jego ukryte, arbitralne założenia aksjologiczne i schematy interpretacyjne, składające się na instrumentarium panującej wiedzowładzy.

Taką pracę od lat wykonuje Elżbieta Górnikowska-Zwolak. Jednym z jej ostatnich efektów jest książka *Kobiety w przestrzeni polityki społecznej wobec rodziny*, która zgodnie z wyłożonym *expressis verbis* zamierzeniem redaktorki tomu „powinna mieć [...] walor edukacyjny — ze względu na uwypuklony w niej wątek genderowy, wciąż niedostatecznie obecny w myśleniu przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych” (s. 7). Stąd też zadania, jakie w związku z tym priorytetem wyznacza się pedagogice społecznej. Równie jednoznacznie zadeklarowano, że w opracowaniu tym, któremu przyświeca idea *gender mainstreaming*, a więc uwzględniająca kulturowy wymiar płci strategia równego traktowania kobiet i mężczyzn we wszystkich dziedzinach życia społecznego, w centrum uwagi będą kobiety: „koncentrujemy się na człowieku-kobiecie”, przeciwstawiając się w ten sposób paternalistycznej idei „człowieka w ogólności” (s. 6). Można się nie zgadzać z pewnymi diagnozami stawianymi w tej publikacji, można mieć wątpliwości co od założeń, na których się opierają, ale nie sposób nie docenić przyjętej w niej otwarcie perspektywy krytycznej, niekiedy bliskiej radykalnym jej wzorom w starszej i nowszej odsłonie postaci nauk społecznych. Zważywszy na to, że mimo kolejnych przełomów, zwrotów i schizm, prawomocny ich paradygmat posadowiony jest niezmiennie na (neo)pozytywistycznym modelu nauki, a kolejne próby ukazywania jego kulturowego uwarunkowania i politycznego uwikłania traktowane są przez establishment świata nauki jako przejawy lewackich odchyłeń lub — w najlepszym razie — niegroźną aberrację grupy nieprzystosowanych malkontentów, trudno przejść obojętnie obok odważnego stwierdzenia, przypominającego klasyków teorii krytycznej, umieszczonego na początku jednego z dwóch artykułów Górnikowskiej-Zwolak i Anny Gil: „Teksty, z założenia naukowe, stają się narzędziem umacniania ładu społeczno-politycznego, pełnią funkcję ideologiczną” (s. 221–222).

Ten styl uprawiania nauk społecznych, w którym funkcja opisowo-eksplanacyjna spleciona jest nierozzerwalnie z funkcją normatywną, a ich celem pośrednim jest zmiana istniejącego stanu rzeczy, nie natrafia na sprzyjający klimat, a przydawane mu etykiety-skojarzenia w rodzaju „marksizmu”, „feminizmu” czy „postmodernizmu” są w tych okolicznościach zwykle synonimem epitetu. Klimat nie jest sprzyjający nie tylko dlatego, że ortodoksyjny model uprawiania nauki oparty jest na pozytywistycznych aksjomatach, ale także z powodu nieodpowiedzialności i dezygnolturności skrajnych nurtów antyscjentyzmu, dyskredytujących całą „wielką narrację” tradycyjnej nauki i hołdujących anarchizmowi teoretyczno-metodologicznemu, ignorującemu elementarne zasady dyscypliny intelektualnej i rzetelności warsztatowej.

Emancypacja spod wszelkich form krępującego swobodę ruchów i myśli przymusu, która prowadzi do ochrony własnej podmiotowości i prawa do samostanowienia, nie naruszając zarazem wolności innych, jest wartością bezcenną, ale zarazem nigdy nieosiągalną w pełni. Wyzwolenie autentyczne, jak uczą prekursorzy tematu, oznacza świadomość tego, co konieczne i nieuchronne, wyznaczające ramy i charakter tego, co możliwe. Oznacza zatem zawsze wolność ograniczoną i względną. Walce o wyswobodzenie się z dotychczasowych zależności musi zatem towarzyszyć świadomość tych nieprzekraczalnych barier i uwarunkowań oraz tego, że jedne formy przymusu wypierają inne, najbardziej zaś niebezpieczne spośród nich są bynajmniej nie te, które wiążą się z niewolą fizyczną i kazamatami, ale z wyrafinowaną, kapilarną wiedzowładzą, z subtelną indoktrynacją przemocy symbolicznej dokonującą się przede wszystkim za sprawą współczesnego ucieleśnienia świadomości zbiorowej, czyli środków masowego przekazu: od nieco już staroświeckiej technologicznie prasy drukowanej po najnowsze zdobycze spod znaku ICT. Paradoks ten bierze się z wymyślnego i „chytrego” charakteru tej drugiej postaci władzy, która inaczej niż siermiężne, fizyczne represje zniewala w sposób zawołowany, niepostrzeżenie i bezboleśnie, więcej nawet: przy nieświadomości jej występowania i pełnej nieraz akceptacji jej dyktatu.

Emancypacja jest więc procesem, który nie ma końca, a zgoła największym jego zagrożeniem jest nie tyle nawet wszechobecna ideologia, ile tryumfalne ogłoszenie jego ostatecznego i zwycięskiego zamknięcia po pokonaniu odwiecznego wroga, postrzeganego jako wyłącznie źródło wszystkich nieszczęść. Przed takim demonem ukrytej mitologii, towarzyszącym procesowi oświeceniowej demitologizacji, przestrzegali przed laty autorzy *Dialektyki oświecenia*. Tak, jak płynne i naturalne jest przejście między „wolnością od czegoś” i „wolnością do czegoś”, tak równie bezwiednie miejsce jednych form opresji mogą zająć inne. Prawdopodobieństwo tej przygnębiającej sukcesji jest tym większe, im większa jest wiara w możliwość dojścia na drodze emancypacji do jej ostatecznego kresu. Omawiane opracowanie, a pośrednio idea *gender mainstreaming*, wpisująca się w szeroki nurt teorii krytycznej, nie sprowadza się w swej wymowie do sumy rozmaitych „kwestii kobiecych” podejmowanych w poszczególnych rozdziałach: od wychowania dziewcząt w sierocińcach prowadzonych przez siostry zakonne, poprzez szkoły rodzenia i stres okołoporodowy po poglądy i odczucia singielek. Ograniczenie się tu do wyliczenia i zreferowania tych skądinąd niebagatelnych spraw byłoby ze szkodą dla całości przedsięwzięcia i jego inspirującego wkładu do przywołanego fundamentalnego problemu emancypacji i wolności oraz ich możliwości i ograniczeń, w kontekście którego należałoby, jak sądzę, tego typu prace umieszczać i analizować.

„Odkrycie” i sproblematyzowanie płci kulturowej zawiera w sobie wymiar opisu określonych faktów społecznych (kulturowe zróżnicowanie aksjonormatywnego charakteru procesu socjalizacji według kryterium płci biologicznej), który w warunkach sprzyjających kontestacji istniejącego porządku społecznego może zyskać dodatkowo wymiar normatywny. Taki ich splot zaowocował krytycznym ruchem intelektualnym zwróconym przeciwko nierównościom społecznym, dyskryminacji, stereotypom myślowym i wynikającej stąd niesprawiedliwości jako konsekwencjom segregacji społecznej w społeczeństwie

zdominowanym przez patriarchalny dyskurs. Niektóre z tekstów podejmują ten temat wprost. Józef Pólturzycki pokazuje go na przykładzie instytucji muzeów, tej spetryfikowanej i spektakularnej ekspozycji historii skolonizowanej przez mężczyzn we wszystkich dziedzinach życia społecznego uznawanych z perspektywy tego dyskursu za ważne. Standardowa historiografia, która Woltera raziała z powodu zawężenia pola jej zainteresowań do „historii królów”, a więc w istocie do historii politycznej, w ramach *gender mainstreaming* jest trudna do przyjęcia z tego samego, a tylko inaczej nazwanego powodu. Nie chodzi jednak o to, by pisać tę historię na nowo, by na siłę szukać w niej żeńskich odpowiedników-konkurentek owych władców, wodzów, uczonych, filozofów itp. Przewaga mężczyzn jest w tym zakresie miażdżąca i próby tego rodzaju muszą się skończyć niepowodzeniem. Nieporozumieniem jest bowiem samo ich podejmowanie, ponieważ konfrontuje się tu strony, z których jednej w ogóle nie dano szans zaprezentowania swoich możliwości. Z punktu widzenia celów *gender mainstreaming* o wiele rozsądniejsze wydaje się zatem demaskowanie społecznych przyczyn uderzającej nieobecności kobiet w owej historii politycznej oraz reaktywowanie oświeceniowego programu rewizji historiografii, która stałaby się dzięki niemu historią społeczną w szerokim tego słowa znaczeniu. Anna Frąckowiak, pokazując większą aktywność edukacyjną kobiet w porównaniu z mężczyznami, podkreśla zarazem ciągle utrzymujące się skutki stereotypowego podejścia do tej sprawy samych kobiet, „które uznają, że niektórych zawodów nie powinny wykonywać, nie nadają się do nich [...], że kobiety są słabsze w zakresie nauk ścisłych i technicznych” (s. 114–115). Empiryczne wskaźniki zaniżonych aspiracji i samooceny kobiet zawarte są w wynikach badań prezentowanych przez Górnikowską-Zwolak i Gil.

Niektóre artykuły z kolei są źródłem intrygujących różnic interpretacyjnych w obrębie samej książki. Oto Alicja Puszcza, opisując działalność wychowawczą zakładów opiekuńczych prowadzonych przed drugą wojną światową przez jedno ze zgromadzeń sióstr zakonnych, stwierdza na koniec, że „zapisaly [one] piękną kartę w dziejach opieki nad potrzebującymi, w tym nad osieroconymi i opuszczonymi dziećmi. Wychowywały dzieci i młodzież zgodnie z nakazami religii katolickiej, starając się stworzyć im namiastkę domu rodzinnego i przygotować ich do dorosłego, uczciwego, ale i pełnego trudów życia” (s. 46). Natomiast w *Słowie wstępnym* redaktorka temu bez podobnego entuzjazmu, a raczej z chłodnym obiektywizmem kwituje rezultat tych praktyk, mówiąc, że „dziewczęta były przygotowywane do samodzielnego życia, do pracy w charakterze gospodyń domowych, a przede wszystkim do obowiązków przyszłych żon i matek” (s. 8). Z uwagi na przyjętą w tym wstępie linię programową opracowania jako całości, wyrażającą się w krytycznym stanowisku wobec nierówności społecznych w sferze gender, tego typu różnice opinii uznałbym jednak za zaletę, a nie wadę. Zagrożeniem dla zdrowia umysłowego jest jednostronność poglądów, rosnące poczucie pewności i zanikające wątpliwości. Niekonsekwencja, której zalety słauił Leszek Kołakowski, nie zawsze warta jest pochwały, ale z pewnością jest usprawiedliwiona, a nawet roztropna wobec świata wartości, którego naturalną cechą jest pluralizm — współistnienie sprzecznych, ale równorzędnych preferencji. Lekcja radykalnego racjonalizmu, jaką odebraliśmy od Kołakowskiego, zawiera pouczającą przestrożę przed każdym wariantem dogmatyzmu

intelektualnego, bez względu na to, jakie są jego korzenie (rzecz jasna z wyjątkiem tego typu myślenia, który tę lekcję umożliwił i usuwa niebezpieczeństwo uwikłania się w błędne koło nieograniczonego relatywizmu).

Przeważające w tomie głosy krytyczne wobec istniejącego porządku społecznego oparte są na założeniu, że jest on zbudowany na dychotomicznej (może wręcz: antagonistycznej) relacji nierównoważnych płci kulturowych. Taka definicja struktury społecznej ma daleko idące konsekwencje dla wyjaśniania przyczyn wielu istotnych kwestii społecznych. O ile nie sposób polemizować z ich istnieniem, o tyle wątpliwości budzi szukanie ich źródeł w tak interpretowanej strukturze współczesnego społeczeństwa. Czy istotnie efektywną drogą do rozwiązywania tych i innych problemów społecznych nierówności i krzywd jest strategia oparta na dość już wyeksploatowanym modelu genderowej opozycji jako antytezie wobec tezy, jaką w tej logice byłby patriachat? Czy zastępowanie „człowieka w ogólności” i jego prawa do godnego, suwerennego samostanowienia człowiekiem przepołowionym według kryterium płci daje nadzieję na naprawę świata w tym względzie? Opozycja ta powiela analogiczne schematy, w których logicznie dopełniające się zbiory w wyniku normatywnej obróbki przybierają postać konkurujących przeciwieństw: młodzi–starzy, biali–czarni, Grecy–barbarzyńcy, wierni–poganie, prawomyślni–heretycy, chrześcijanie–żydzi, heteroseksualni–homoseksualni, liberałowie–socjaliści, entuzjaści nieustannych podróży i zwolennicy pozostawiania na dłużej w jednym miejscu itd.

Najbardziej nawet uzasadniona i najczystsza w intencjach krytyka *ancien régime'u* i troska o jego ofiary naraża się na lekceważenie i nieufność, jeśli wyrastając z naturalnej chęci odwetu za dotychczasowe krzywdy, wchodzi w koleiny dekonstrukcji porządku, dla którego obie strony konfliktu są logicznie niezbędne. Pragnienie to, w pełni zrozumiałe w sensie emocjonalnym, nie sprzyja całemu przedsięwzięciu jako poważnemu programowi społecznej naprawy. Sadzając dawnych prawodawców na ławie oskarżonych, feminizm reprodukuje genderową opozycję strukturalną. To, że spotyka się ciągle jeszcze z ironicznymi komentarzami lub chłodną obojętnością, wynika z tego, śmiem twierdzić, że poddaje się logice tego układu, daje sobie narzucić wynikającą z niego definicję sytuacji i w efekcie przyjmuje postawę konfrontacyjną, która nie przysparza mu zwolenników. Zdecydowanie bardziej efektywna od anachronicznej, ale ciągle żywotnej strategii konfliktu, byłaby, trzymając się heglowskiej retoryki, synteza tego dialektycznego napięcia w postaci dojrzałej propozycji niczym nieskrępowanego dialogu ponad podziałami w celu budowania przestrzeni otwartej komunikacji i wspólnoty. Symetryczne eliminowanie z niej drugiej strony według klasycznych i skompromitowanych reguł kulturowego wykluczania kategorii społecznych uznanych w ramach społeczeństwa patriarchalnego za gorsze czy niegodne, oznacza dokładne powielenie jego zasad i sposobów postępowania, a więc kontynuację, a nie zniesienie jego dyskursu.

Bez wątpienia trafne jest szukanie źródeł owych społecznych nierówności, segregacji, wykluczenia i marginalizacji, w efekcie: społecznej niesprawiedliwości, w sferze hegemonii kulturowej, w patriarchalnym charakterze tego społeczeństwa, w dominacji jednej z jego stron w niemalże wszystkich sferach życia społecznego. Obnażanie hegemonii kulturowej nie może się jednak zatrzymywać na poziomie określonej konserwatywnej obyczajowości.

Dlatego za w pełni uzasadnione i będące dowodem przenikliwości analitycznej autorek i autorów omawianej tu książki należy uznać wkomponowanie poruszanych w niej zagadnień w ramy polityki społecznej, ponieważ charakterystyczną cechą mechanizmów rządzących społeczeństwem nowoczesnym jest niezwykle skuteczne maskowanie jego ideologicznego charakteru (którego oficjalnie miało się wyżyć na skutek sławetnego „końca historii”), a w konsekwencji depolityzacja przestrzeni publicznej i prywatyzacja kwestii społecznych, tzn. sprowadzanie ich z poziomu systemowego do poziomu indywidualnych problemów jednostek i tym samym obniżanie ich rangi oraz neutralizacja. Podtrzymywanie tych opozycji strukturalnych i definiowanie kwestii społecznych tego systemu społecznego w języku patriarchalnych zależności i opresji nie tylko ich nie rozwiązuje, ale skutecznie ukrywa i utrwała rzeczywiste przyczyny, jakich należałoby szukać w podstawach systemu społeczeństwa rynkowego, redukującego człowieka — niezależnie od jego cech społeczno-demograficznych, a więc także płci — do określonej instrumentalnej roli społecznej jednostki identyfikującej się z jego aksjologią i sprawnie realizującej jego funkcjonalne wymogi. Obiecując w związku z tym brzmia słowa zawarte w części wstępnej, które akcentują związek polityki z płcią, mówią bowiem o znaczeniu istniejącego systemu społecznego dla „potencjału rozwojowego dziewcząt i kobiet”, o potrzebie działań politycznych i edukacyjnych na rzecz kobiet (s. 8). Wyrazem tej potrzeby, a tym samym politycznego wymiaru kwestii społecznych w ich ścisłym powiązaniu z wyzwaniem oświecenia społecznego, jest wiele zamieszczonych w tomie artykułów. Barbara Kołodziej, w swoim przeglądzie programów głównych partii politycznych w Polsce, pokazuje marginalizowanie w nich problemów rodziny i pośrednio — praktycznie brak polityki rodzinnej, co zyskuje szczególną wymowę zwłaszcza w świetle aktualnej sytuacji demograficznej i emigracyjnej. Bożena Kołaczek przypomina o utrzymujących się trudnościach w dostępie do wychowania przedszkolnego, które w poważnym stopniu decyduje o wyrównywaniu szans rozwojowych, a co za tym idzie — o realizacji *stricte* politycznej doktryny jednakowych możliwości awansu w społeczeństwie demokratycznym. Na ciągle nierozwiązany problem systemowej edukacji seksualnej zwracają uwagę Dorota Luber i Leokadia Szymczyk.

Polityzacja kwestii społecznych jest jednak niepełna i niezbyt skuteczna, jeśli zgodnie z dotychczasowym dyskursem staje się jednostronna i zamiast budować przestrzeń otwartego dialogu, wzmacnia klimat izolacji i konfrontacji. Ogromne znaczenie dla rangi i przesłania krytycznej pedagogiki społecznej, zarówno dla jej porządku formalnego, jak i celów pragmatyczno-politycznych, mogłaby mieć — co prawda zdawkowa, ale jednak wyartykułowana od razu w części wstępnej — deklaracja, że mimo skupienia uwagi na problemach kobiet nie wyklucza się z niej mężczyźni (s. 6), gdyby byli oni rzeczywiście w niej obecni, i to niekoniecznie standardowo, czyli w roli negatywnego punktu odniesienia. Wątpliwości budzi bowiem sama koncepcja badań diagnostycznych „prowadzonych oddzielnie w odniesieniu do kobiet i mężczyzn” (s. 8). Pomijając już trudność czysto metodologiczną z ich realizacją w takiej formule (obie kategorie stanowią podręcznikowy przykład układu binarnego, a więc elementów wzajemnie warunkujących się, których tożsamość tak w sensie biologicznym, jak i kulturowym powstaje wyłącznie w relacji do drugiej strony), niełatwo byłoby wówczas sprostać strategicznemu celowi pedagogiki społecznej, jakim ma być

„optymalny rozwój kobiet i mężczyzn” (s. 15), a więc jednak wszystkich ludzi bez względu na płeć. Z jednej strony można znaleźć w książce postulaty włączania mężczyzn do praktyk i dziedzin, w których w naszym kręgu kulturowym rzadko można ich spotkać, takich jak wspólne z kobietami uczęszczanie do szkół rodzenia, a następnie obecność ojca przy porodzie (Sonia Kędziora), urlop ojcowski i inne regulowane ustawowo formy opieki ojca nad dzieckiem (Angelika Barczyk-Nessel), z drugiej strony jednak napotkać można w niej skłonność do zawłaszczania określonych sfer psychoemocjonalnych czy różnicowania tego typu wrażliwości według kryterium płci. Na przykład Sylwia Baranowicz i Renata Kaczmarek przekonują, że „utrata nienarodzonego dziecka wiąże się z dramatem, który przeżywają rodzice i najbliższa rodzina. Jednak to kobieta jest narażona na największe cierpienie i najbardziej dotkliwy ból psychiczny [...]” (s. 269).

Egzemplifikacją przyświecających autorkom i autorom publikacji celów poznawczo-krytycznych w duchu *participatory action research*, będących wyrazem oczywistych dążeń emancypacyjnych na drodze do upragnionej wolności od krępujących form instytucjonalnych i wzorów kulturowych, są prezentowane w zbiorze wyniki badań empirycznych. Przede wszystkim chodzi o badania Górnikowskiej-Zwolak i Gil nad kobietami żyjącymi w pojedynkę (singielkami). Badania te, należące, jak deklarują autorki, do „pedagogiki inspirowanej feminizmem”, czyli „pedagogiki społecznej wrażliwej na płeć kulturową” (s. 198), potwierdzają charakterystyczne dla społeczeństwa nowoczesnego tendencje do zrywania tradycyjnych zależności, czego świadectwem jest rosnący odsetek kobiet, dla których małżeństwo i rodzina nie są już jedynym punktem odniesienia w określaniu własnej tożsamości, a macierzyństwo przestaje być ich *naturalnym* przeznaczeniem (s. 244–245). Zmienia się więc istotnie ich system wartości, zainteresowanie budzą role społeczne i przestrzenie, które do tej pory — jeśli nie z powodów formalnoprawnych, to przynajmniej kulturowych — były dla kobiet niedostępne, „rośnie świadomość możliwości wyboru” (s. 246). Z punktu widzenia możliwości „samorealizacji”, „poczucia pełni życia” są to „zjawiska pożądane” (s. 245). W świetle zarysowanego tu wcześniej fundamentalnego problemu emancypacji i wolności, w którego polu można omawianą publikację interpretować, trudno się z taką oceną nie zgodzić. W tym samym kontekście, który każe pamiętać o strukturalnych, nieprzekraczalnych ograniczeniach każdej postaci emancypacji, wątpliwości budzi jednak nazbyt optymistyczna, jak sądzę, konkluzja wyprowadzana przez autorki z tych badań, mówiąca, że „słabnie znaczenie kontroli społecznej” (s. 245). Właściwe temu społeczeństwu, bezprecedensowe w swojej skali zjawiska indywidualizacji i egocentryzmu, spełniające się w bogatej ofercie wyborów w każdym bez mała obszarze życia (od sfery prywatno-intymnej, poprzez preferencje światopoglądowo-polityczne po aktywność w przestrzeni publicznej) oraz w prawie do Proteuszowej niestałości i zmienności tych decyzji, mogą istotnie stwarzać wrażenie zaniku kontroli społecznej, jeśli postrzega się ją w sformalizowanym kształcie regulacji i represji. Przymus społeczny (kontrola) jest immanentną i nieusuwalną cechą porządku społecznego. Miejsce niegdysiejszych postaci władzy, tryumfalnie obalonych tyranów i zerwanych oków, zawsze zajmują — zgodnie z tą logiką — inne. Jeśli zdaje się, jakby ich nie było, jeśli ich *nie widać*, to tylko dlatego, że przejęły puste miejsca niepostrzeżenie i sprawują kontrolę w sposób zdecydowanie bardziej wyrachowany i przebiegły, a tym samym skuteczniej niż dotąd.

Istotnie, kobiety nie muszą już być ani żonami, ani matkami, nie muszą się liczyć z opinią swoich rodzin, mogą ostentacyjnie demonstrować swoją niezależność od tradycyjnych instytucji i wzorów kulturowych określających niegdyś obowiązujący styl ich życia. Złudne jest jednak przekonanie, że tym samym nastąpiła swoista anomia społeczna i rozpoczęła się epoka nieograniczonej autonomii i samostanowienia, że rozbrat z patriarchalną postacią opresji oznacza usunięcie kontroli społecznej w ogóle. Wprawdzie kobiety stoją wobec możliwości wyboru spośród tak wielu opcji jak nigdy dotąd, ale ani ich katalog nie jest nieskończony, ani nie są to warianty równoważne. Demokratyczna inkluzja społeczna niegdyś wykluczonych autorytarnie podzieliła te warianty na lepsze i gorsze. Kobiety teraz mogą już więc wybierać, ale owa „samorealizacja” jest w tym dekrete kulturowo regulowanej demokracji kojarzona raczej ze ścieżką życiową znaczoną studiami wyższymi, pracą zarobkową, sukcesem zawodowym, aktywnością w życiu publicznym itp., a nie z grzęźnięciem w przypominającej stary patriarchalny porządek rodzinie, w wychowywaniu dzieci, prowadzeniu gospodarstwa domowego itp. Zawsze obecna kontrola społeczna opierająca się na aktualnie prawomocnej aksjologii gloryfikuje bowiem ten pierwszy scenariusz, a nie drugi, czego wyrazistych przykładów dostarczają podstawowe instrumenty sprawowania władzy w społeczeństwie nowoczesnym, czyli mass media, które lansują określone wartości i ideały osobowościowe jako prawidłowe, a zarazem marginalizują czy wręcz dyskredytują inne.

Poglądowego dowodu na to, że kontrola społeczna trzyma się mocno, dostarcza zresztą Górnikowska-Zwolak w trzeciej części swych badań (dwie pierwsze części zostały przedstawione w omawianej książce) nad kobietami żyjącymi w pojedynkę, zatytułowanej *Poza rodziną? Aktywność samorozwojowa kobiet-singielek* (tekst w druku), przedstawiając skalę tego zwrotu w kierunku narcystycznego indywidualizmu, jaki znajduje wyraz w masowej „trosce o siebie” (co w praktyce oznacza zabiegi, by „dobrze” wyglądać) jako jednej z najbardziej rozpowszechnionych form spędzania wolnego czasu. Strategia pedagogiki społecznej wrażliwej na kwestie genderowe powinna być, jak sędzę, wyczulona także na owe zakamuflowane warianty przymusu społecznego: obsesyjny kult ciała, poddanie się imperatywowi wiecznej młodości, witalności i aktywizmu, przy jednoczesnym demonstracyjnym odwróceniu od tradycyjnego, zdeprecjonowanego stylu życia, są pouczającymi przykładami, które każą raczej studiować dającą się dość często zauważyć w feministycznej narracji entuzjazm i zauroczenie tym zwrotem. W bardziej pogłębionych jej wersjach, w których dostrzega się jednak problem kolejnej formy przemocy symbolicznej tam, gdzie inni, już usatysfakcjonowani, oddychają ową „pełnią życia”, podnosi się co prawda sprawę ewidentnego uprzedmiotowienia kobiety i jej redukcji do roli estetycznego obiektu do pokazywania (się) w społecznym teatrze dnia codziennego, ale przyczyn tego zjawiska szuka się tradycyjnie w patriarchalnym porządku aksjonormatywnym, który jak widmo nieustannie krąży nad współczesnym społeczeństwem, mocno już doświadczonym różnego rodzaju rewolucjami modernistycznymi. W tych warunkach demonizowanie tego zjawiska i wyjaśnianie przy pomocy zużytych zmiennych ujawnia swoją pogłębiającą się anachroniczność. W tym społecznym teatrze uczestniczą bowiem wszyscy, każdy jest jego aktorem i widzom na przemian, każdy w nim gra swoje rozmaite role i każdy każdego recenzuje; wbrew temu, co Bourdieu pisze w — *nomen omen* — *Męskiej dominacji*, nikt,

a więc mężczyźni także, nie ma tu przywileju prawodawców i sędziów. Oni także podlegają określonej tresurze socjalizacyjnej, charakterystycznej dla danego kontekstu kulturowego, która narzuca im w efekcie określone nakazy i zakazy, prowadzące do analogicznego — do tego, o którym piszą Górnikowska-Zwolak i Gil, odtwarzając perypetie socjalizacyjne dziewcząt (s. 200) — poczucia nieadekwatności kulturowej w przypadku ich naruszenia. Spektakularną ilustracją tej symetrii, a nie różnicy płci kulturowych, jest fakt, że mężczyźni są w nie mniejszym stopniu zinstrumentalizowanymi obiektami wystawowymi, poddaniymi społecznej presji nie tylko „właściwego”, tzn. zgodnego z obowiązującymi kanonami estetycznymi, wyglądu, ale całokształtu stylu życia „obowiązującego” w jego „męskim” wydaniu. Byłoby zatem czymś groteskowym, choć formalnie uzasadnionym, gdyby na wzór dychotomicznej logiki opozycji damsko-męskich charakterystycznej dla myśli feministycznej w jej uproszczonej postaci, pojawiły się symetryczne pretensje ze strony mężczyzn, protestujących przeciw ich redukcji do poziomu i roli nieugiętego macho, wojownika i zdobywcy niewieścich względów. To wzajemne uzależnienie i podległość zewnętrznym, zreifikowanym regulacjom aksjonormatywnym, narzucającym przecież nie tylko wzorce wyglądu zewnętrznego, ale także zasady i wartości dotyczące znacznie bardziej istotnych sfer życia zarówno kobiet, jak i mężczyzn, wskazuje dość wyraźnie na potrzebę uwzględnienia w analizach przyczyn rozmaitych kwestii społecznych w większym stopniu czynnika władzy i hegemonii kulturowej. W nowoczesnym społeczeństwie nie skupia się ona niestety w rękach żadnej konkretnej kategorii społeczno-demograficznej — co pozwalałoby wiele problemów rozwiązywać wedle starych metod i podziałów na prawodawców i tych, którzy winni im posłuszeństwo — ale przybrała nieuchwytną postać „anonimowego autorytetu” Fromma, wszechobecnej „ideologii” Althussera, rozproszonej „wiedzwładzy-dyskursu” Foucaulta, nieodczuwalnej „kontroli społecznej” Marcusego, będących w istocie wariacjami na temat starego problemu ładu społecznego traktowanego jako prawo naturalne, który właściwy mu przymus czyni niewidocznym.

Zgodnie z zadeklarowanym na wstępie planem, zamiast rutynowo referować treści omawianej publikacji, starałem się skorzystać z zawartych w niej inspiracji i podjąć krótką dyskusję na tematy o znaczeniu zasadniczym, jakie są w niej, nie zawsze wprost, przywoływane. Otrzymał mi bowiem zbiór artykułów, które są połączone koncepcyjną myślą przewodnią społecznych studiów analityczno-krytycznych z wyraźnie nakreślonym celem edukacyjnym i nie pozwalają się poddać owej fałszywej świadomości istniejącego porządku społecznego jako prawa i stanu naturalnego. Nie pozwalają przechodzić obojętnie obok maskowanych, a ciągle palących kwestii społecznych w nim zawartych. Wprost przeciwnie: książka należy do wartościowego gatunku publikacji prowokujących do refleksji i debaty, do polemiki i uwag. Taki jej charakter stwarza nieocenione warunki i szansę do twórczej dyskusji, bo szczęśliwie nie ma w prezentowanym tomie, zamykającego ją zanim mogłaby się jeszcze w ogóle rozpocząć, zestawu opinii bezspornych i jednoznacznych.